Mack Reynolds, Fredric Brown

Sześcionogi Svengali

(Six-Legged Svengali)

Worlds Beyond, December 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Wszystko, co musiał zrobić, to pokazać, że jest sprytniejszy od błotnego żółwia – ale na Wenus nie jest to takie proste!

Baza z pewnością była przyjemnym miejscem, zwłaszcza po wielu godzinach samotnej wędrówki przez odwieczne gęste mgły i rzadką mżawkę, stanowiące samą istotę Wenus. Nigdy nie widzi się tu dalej, niż na kilka jardów przed sobą, ale to specjalnie nie szkodzi; na Wenus i tak nie ma niczego wartego oglądania.

Oczywiście, za wyjątkiem, ale tylko w trakcie pobytu tutaj naszej ekspedycji, Dixie Everton. To właśnie z powodu Dixie przyłączyłem się do Ekspedycji Zoologicznej Evertona, prowadzonej przez jej ojca, doktora Evertona z Pozaziemskiego Zoo w New Albuquerque. Płaciłem także sam za własne wydatki; doktor Everton nie uważał, abym był wartościowym dodatkiem do wyprawy. Co gorsze, nie uważał również abym był wartościowym mężem dla Dixie. A w tym punkcie, nie zgadzałem się z nim zupełnie.

Tak czy inaczej, ode mnie zależało, aby w trakcie tej niewielkiej ekspedycji, przekonać go, że nie jestem tak do końca *non campos mentos*, jak myślał. Być może brzmi to nieco banalnie, ale tak właśnie było. A sądząc po moim szczęściu, jak do tej pory, na przekonanie go do siebie miałem mniej więcej takie szanse, jak lody na patyku na słonecznej stronie Merkurego.

Tak prawdę mówiąc, ta wyprawa nie budziła specjalnie moich ciepłych uczuć. Nigdy nie myślałem zbyt dobrze o ludziach pakujących zwierzęta do klatek, po to by banda gamoni mogła się na nie gapić. Do dzisiaj, na Wenus, z i tak rzadkiej fauny, wyginęły już dwa gatunki: piękna wenusjańska czapla, wybita dla piór na kapelusze, w efekcie idiotycznej rewitalizacji modystycznych styli z 19 wieku, i kieter, którego mięso było nie do uwierzenia wspaniałe i stało się ozdobą stołów bogatych smakoszy.

Dixie usłyszała, jak wracam do obozowiska. Wysunęła swoją piękną głowę spomiędzy klap namiotu i uśmiechnęła się do mnie. To bardzo pomogło. Spytała:

— Masz coś, Rod?

Odparłem:

— Tylko to. Czy to się na coś przyda?

Otworzyłem wyłożone mchem pudło, które służyło mi jako klatka na zdobycz, i wyjąłem z niego jedyne zwierzę, jakie udało mi się złapać, jeżeli to w ogóle *było* zwierzę. Stworzenie miało skrzela jak ryba, osiem odnóży i koguci grzebień, tyle że większy i z niebieskiego futra.

Dixie przyjrzała się mojej zdobyczy:

— To jest weezen, Rod. Już mamy dwa takie w zoo, tak że, nie jest to nowy gatunek. — Musiała zauważyć rozczarowanie na mojej twarzy, ponieważ szybko dodała: — Ale to piękny okaz, Rod. Nie wypuszczaj go jeszcze. Tata prawdopodobnie będzie chciał mu się przyjrzeć, w wolnym czasie.

Taka jest moja Dixie.

Doktor Everton wyszedł z głównego namiotu bazy i popatrzył na mnie z niesmakiem.

— Cześć, Spenser. Pójdę wyłączyć sygnał. Crane też już wrócił.

Poszedł wyłączyć urządzenie radiowe, które transmitowało sygnał kierunkowy, umożliwiający Crane'owi i mnie powrót do obozowiska. Na Wenus, bez tego nadajnika i odpowiednio dostrojonego kieszonkowego odbiornika, można się beznadziejnie zgubić już kilkanaście metrów od swojej bazy.

— Crane coś złapał? — spytałem.

— Żadnych okazów — odparł doktor Everton, — ale coś czego warto skosztować. Upolował bagienną kurę i teraz ją dla nas gotuje.

— Nie pozwolił mi się do niej zbliżyć — powiedziała Dixie. — Twierdzi, że kobiety nie potrafią gotować. Chyba musi już być prawie dobra, siedzi nad nią niemal od godziny. Jesteś głodny, Rod?

— Niemal na tyle głodny, aby zjeść to — oświadczyłem, pokazując na weezena, którego ciągle trzymałem w ręku. Dixie roześmiała się i zabrała go ode mnie, aby włożyć do jednego z pudeł na zdobycz.

Weszliśmy do głównego namiotu. Bagienna kura była już gotowa i Crane z dumą podał ją do stołu. Była naprawdę dobrze przyrządzona i miał prawo czuć się dumny. Właściwie zrobiona wenusjańska bagienna kura, jest o tyle lepsza od pieczonego kurczaka, o ile pieczone kurczę jest lepsze od gotowanego gołębia. Po prostu, jest nie z tej ziemi, czy w ogóle z jakiejkolwiek ziemi.

A w dodatku ma cztery nogi, tak więc dla każdego z nas była pałeczka.

Podczas jedzenia nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Ale po wypiciu kawy, Dixie powiedziała do mnie coś, co w ogóle nie miało dla mnie sensu – coś o jakimś żółwiu.

— Słucham — spytałem. — Jaki żółw?

Dixie spojrzała na mnie, jakby chciała się zorientować, czy żartuję, czy nie, a następnie powiodła wzrokiem od swojego ojca do Johna Crane. Potem zapadło niezręczne milczenie.

Zmarszczyłem brwi i spytałem, o co chodzi.

Crane westchnął. Powiedział:

— Wenusjański żółw błotny, Rod. To właśnie on jest głównym celem tej ekspedycji. I najwyraźniej dzisiaj rano udało ci się znaleźć jakiegoś osobnika.

— Nie wiem, o czym wy w ogóle mówicie — oznajmiłem cierpliwie. — Nie tylko, że nie znalazłem żadnego wenusjańskiego żółwia, ale nawet nigdy o czymś takim nie *słyszałem*. Czy to ma być jakiś żart?

Doktor Everton ze smutkiem pokręcił głową.

— Spenser, pozwoliliśmy ci lecieć z nami tylko dlatego, że zarzekałeś się, iż wiesz jak go złapać.

— *Ja* coś takiego mówiłem? — popatrzyłem na Dixie błagalnym wzrokiem. — Czy to jakiś spisek, żeby sobie ze mnie zakpić?

Dixie wbiła nieszczęśliwe spojrzenie w znajdujący się przed nią talerz.

Doktor Everton powiedział:

— Tak, zdecydowanie znalazłeś żółwia, albo byłeś w jego pobliżu. Pozwól, że ci wyjaśnię.

— Widzisz, Spenser, wiele stworzeń posiada zdumiewające mechanizmy ochronne, które może wykorzystać przeciwko swoim wrogom. Istnieją owady, mogące przetrwać, dzięki podobieństwu do gałęzi krzewów; nieszkodliwe węże, posiadające wzory na skórze identyczne jak u śmiertelnie jadowitych; niewielkie ryby, potrafiące tak się nadąć, że te większe nie są w stanie ich połknąć; kameleony, które…

Przerwałem mu:

— Przyznaję, że tego rodzaju mechanizmy ochronne istnieją, panie doktorze. Ale co to ma wspólnego, z tematem naszej rozmowy?

Wycelował we mnie palec.

— Dobrze, że chociaż jesteś świadom występowania mechanizmów obronnych. A teraz, przejdźmy do mechanizmów obronnych wenusjańskiego żółwia błotnego. Podobne jak inne żywe stworzenia na Wenus, posiada on ograniczone zdolności telepatyczne. W tym przypadku, mówimy o specyficznej adaptacji telepatii. Potrafią one, w umyśle każdego stworzenia, które znajdzie się w określonej odległości od nich, wzbudzać czasową amnezję na temat samych siebie – na temat swojego istnienia. Innymi słowy, jeśli ktoś poluje na wenusjańskiego żółwia błotnego i znajdzie któregoś z nich – nie tylko zapomina, że na nie poluje, ale że kiedykolwiek je widział, albo nawet o nich słyszał!

Prawdopodobnie moje usta lekko się otworzyły. Spytałem:

— Czy chce pan powiedzieć, że ja polowałem na…

— Dokładnie — stwierdził doktor Everton, z nieco bardziej zadowoloną miną.

Popatrzyłem na Dixie, która tym razem odpowiedziała mi spojrzeniem. Dodała:

— To prawda, Rod. Znalezienie sposobu złapania żółwia, było głównym celem tej ekspedycji. I częściowo powodem, dla którego Tata pozwolił ci lecieć z nami, był fakt, że twierdziłeś, iż wiesz jak to zrobić.

— Naprawdę?

— Chwileczkę, Rod. Coś ci pokażę. Wiem, że uznasz to za trudne do uwierzenia, teraz kiedy tego nie pamiętasz.

Wyszła na chwilę z namiotu i wróciła z listem. Stwierdziłem, że to moje własne pismo. Dała mi list i przeczytałem go, i uszy zaczęły mi płonąć.

Oddałem go Dixie i zapadła długa cisza.

W końcu przerwałem ją.

— I na pewno nie dałem nikomu z was żadnej wskazówki — spytałem, — na temat tego jak przechytrzyć żółwia błotnego?

Doktor Everton rozłożył ręce.

— Nie chciałeś nam powiedzieć.

— Jak długo będzie trwać ta amnezja? Czy ma ona trwały charakter?

— Nie, minie po kilku godzinach – może pięciu, czy sześciu. Ale następnym razem, kiedy napotkasz któreś z tych zwierząt, wszystko to powtórzy się od początku.

Przemyślałem to wszystko gruntownie i nie byłem w stanie dostrzec żadnego rozwiązania tej sytuacji. Ale, nagle, coś mnie zastanowiło. Spytałem więc:

— Jeżeli każdy kto je zobaczy, zapomina o tym, to skąd wiadomo, że one istnieją?

— Żółwie zostały kilka razy sfografowane, ale badacze nie pamiętali, że zrobili te zdjęcia, dopóki nie zostały one wywołane, kilka godzin później. Wyglądają dosyć podobnie do ziemskich żółwi; tylko, mają sześć nóg zamiast czterech i są raczej okrągłe, niż owalne. Przyglądałeś się tym zdjęciom dosyć uważnie.

Crane wstał od stołu i wyciągnął kilka fotografii, z małego, przenośnego biurka, które przycupnęło w jednym z rogów pomieszczenia.

— Oto przedmiot twoich poszukiwań, Rod. — W jego oczach widać było rozbawienie.

Wpatrywałem się w zdjęcia, nadal nie do końca w to wszystko wierząc.

— To sprytne, małe potworki — wymamrotałem. — Wielkie oczy. To smutne spojrzenie.

— Są raczej rzadkie, nawet jak na gatunek wenusjański — powiedział mi Crane. — Ten obszar o rozmiarach jakichś dwudziestu, czy trzydziestu mil kwadratowych, jest jedynym miejscem, z którego donoszono o ich występowaniu.

— Rzadkie, zgadza się — chrząknął doktor Everton. — A przy szybkości, z jaką toczą się rzeczy, wyginą do końca, zanim uda nam się zdobyć nasz okaz.

Zmarszczyłem na to brwi.

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

Crane wzruszył ramionami.

— Niektóre z prób ich schwytania, skończyły się dla błotnych żółwi raczej źle. Jedna z wypraw biologicznych próbowała zastosować trujący gaz, spodziewając się, że zabiją kilka z nich i przynajmniej zdobędą jakieś martwe okazy. Jednak, jak się oczywiście należało spodziewać, po śmierci tonęły one gdzieś głęboko w mule. Inna z ekspedycji użyła narkotyków, w nadziei pozyskania ich, pozbawionych świadomości. Jednak…

Wtrącił się doktor Everton:

— No cóż, było jak było, ale jeśli ta ekspedycja zakończy się niepowodzeniem, prawdopodobnie będzie ostatnią. Próby schwytania żółwi błotnych, okazały się zdecydowanie zbyt kosztowne.

Przesunąłem ręką po twarzy. To wszystko było jak kac po sześciodniowej hulance. Gdybym nie miał tego listu, ewidentnie napisanego moją własną ręką, ciągle bym podejrzewał, że spiskują przeciwko mnie, aby zrobić mi głupi dowcip.

Stwierdziłem żałośnie:

— Jakikolwiek miałem pomysł, najwidoczniej okazał się on kiepski. Spotkałem się z naszym przeciwnikiem i zostałem pokonany. A teraz, jeżeli nic nie macie przeciwko temu…

— Co masz zamiar zrobić, Rod? — spytała Dixie.

— Wyjść, aby trochę pomyśleć. — Zwróciłem się do doktora Evertona. — Chyba, że potrzebuje mnie pan do czegoś.

— Nie, idź, Spenser. Wkrótce wyruszymy ponownie na polowanie, być może to będzie ostatnia próba, zanim stąd odlecimy. Ale… — Nie powiedział tego wyraźnie, że raczej nie okazałem się zbyt wartościowym dodatkiem do wyprawy łowieckiej, ale ewidentnie tak myślał. I raczej go za to nie winiłem.

Poszedłem do swojego namiotu – cała nasza czwórka miała małe prywatne namioty rozstawione dookoła tego dużego – i usiadłem na łóżku polowym. Próbowałem sobie przypomnieć coś, absolutnie cokolwiek, na temat żółwi, czy też żółwia. Ale poza tym, czego właśnie się dowiedziałem, nie mogłem nawet zadrapać ściany w moim umyśle.

Jaki mogłem mieć pomysł? No cóż, na czymkolwiek by on nie polegał, raczej nie był zbyt dobry. Czułem, że od główkowania zaraz pęknie mi łepetyna.

Koło wejścia do namiotu rozległo się dyskretne kaszlnięcie.

— Czy mogę wejść? — To był głos doktora Evertona.

— Oczywiście — odparłem.

Wszedł, i skinięciem ręki zaprosiłem go aby usiadł, ale on pokręcił przecząco głową. Powiedział:

— Bardzo mi przykro, że muszę ci o tym przypomnieć, Spenser – w takiej chwili, kiedy i tak jesteś mocno przybity – ale byłoby z mojej strony nieuczciwością, gdybym tego nie zrobił. A ty ewidentnie zapomniałeś o wszystkim, co jest związane z żółwiami.

Uniosłem wzrok i spojrzałem na niego, zaintrygowany. Mówił dalej:

— Nie pamiętasz naszej umowy?

Pokręciłem głową.

— Brzmiała ona po prostu tak: Obiecałem ci, że jeśli uda ci się zrealizować to co obiecałeś, wycofam swój sprzeciw odnośnie waszego ślubu z Dixie. Z drugiej strony zobowiązałeś się, że jeśli przegrasz…

— O, nie.

— To twoje słowa, Spenser. Byłeś tak pewny siebie, że zdawałeś się sądzić, iż nie podejmujesz w ogóle żadnego ryzyka. I dałeś słowo, że jeśli ci się nie uda, to zaakceptujesz mój werdykt i przestaniesz widywać się z Dixie.

Wydawało się niemożliwe, że mógłbym złożyć taką obietnicę – ale wiedziałem, że doktor Everton jest uczciwym człowiekiem.

Dodał jeszcze:

— Z przykrością ci o tym przypominam. I szczerze mówiąc, pewnie podchodzę do tej sprawy trochę tak jak ty, czyli osobiście. Nadal jednak nie wydaje mi się, żebyś był dobrym kandydatem na męża dla mojej córki. Ona jest wspaniałą dziewczyną. Zasługuje na kogoś, kto… hmmm…

— Kto jest sprytniejszy od błotnego żółwia — podsunąłem mu ponuro.

Stwierdził:

— No cóż… — i uprzejmie spróbował podbudować moje morale, ale nie za bardzo mu wyszło. Niedługo potem wyszedł, a ja zostałem sam, siedząc na łóżku.

I siedziałem na łóżku.

Wiedziałem, że musiałem mieć jakiś pomysł, skoro byłem na tyle pewny siebie, aby zawrzeć taką umowę z doktorem Evertonem. Ale na czym ten pomysł mógł polegać? Na co komu taki pomysł, którego się nie pamięta? *Czy możliwe było, abym był tak sprytny, że zostawiłem dla siebie jakąś wiadomość*?

Szybko podszedłem do swojej szafki, w której trzymałem ubrania oraz wyposażenie i uniosłem jej pokrywę. W porządku, na wewnętrznej stronie pokrywy wypisana była kredą wiadomość, moim pismem. Trzy zdania. Wisiały tuż przed moimi oczyma. „MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. CZY KTOŚ KTO MA AMNEZJĘ MOŻE STRACIĆ PAMIĘĆ? ODPOWIEDŹ TKWI W FAZIE."

Wpatrywałem się w tę wiadomość i jęknąłem w duchu. Ale przecież, musiała być utajniona. Nie mogłem wyłożyć jej kawa na ławę, tak bym od razu wiedział o co chodzi. Prawdopodobnie kombinowałem, że jeśli napiszę ją w sposób otwarty, Crane lub Everton mogą ją przeczytać i ukraść mi mój pomysł. Ale, o co mogło mi chodzić?

MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. CZY KTOŚ KTO MA AMNEZJĘ MOŻE STRACIĆ PAMIĘĆ? ODPOWIEDŹ TKWI W FAZIE…

Brednie. To musiało coś dla mnie znaczyć, kiedy to tutaj pisałem, ale teraz te słowa nie znaczyły dla mnie absolutnie nic.

MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ. Czy to miało znaczyć, że celowo pozwoliłem się pochwycić błotnemu żółwiowi, tak bym teraz mógł *odwrócić kartę i złapać jego*? Czy ktoś, kto ma amnezję, może stracić pamięć? Czy byłem teraz uodporniony? Być może, ale o co mi chodziło z tą fazą, stanowiącą odpowiedź?

Usłyszałem jak pozostali wyruszają z obozu i szybko złapałem swój ekwipunek, razem z wyłożoną mchem klatką na okazy, i pośpieszyłem za nimi. Byli już poza zasięgiem wzroku – sądząc po odgłosach ich rozmów, jakieś dwadzieścia jardów przede mną – ale odpowiedzieli, kiedy ich zawołałem i chwilę zaczekali, kiedy przedzierałem się przez błoto, aby ich dogonić.

Doktor Everton stał jako ostatni i doszedłem do niego. Wyjaśniłem:

— Panie doktorze, proszę posłuchać. Niemal chwyciłem ideę, na czym polegał mój pomysł. Wydaje mi się, że celowo pozwoliłem żółwiowi, aby mnie dopadł. Myślę, że celowo wyruszyłem sam, tak bym mógł się do któregoś z nich zbliżyć.

— Tak? A dlaczego? — Mówił, jakby go to zainteresowało.

— Widzi pan, ponieważ kiedy już zostałem złapany w pułapkę, to na następne mniej więcej cztery godziny stałem się ofiarą tej amnezji. I z tego powodu, jak sądzę, jestem odporny. Myślę, że gdybym *teraz* zobaczył żółwia, nie zapomniałbym co to za stwór oraz tego, że chcę go złapać.

Odwrócił się do mnie i uważnie się mi przypatrzył.

— Spenser, być może coś w tym jest. Ale to marna szansa.

— Dlaczego?

— Chodzi o tę widoczność – albo raczej jej brak. Według zdjęć, jakie mamy, one stapiają się doskonale z błotem. Poruszają się po powierzchni bagniska, ale są tego samego koloru. Nie znajdziesz żadnego, chyba że niemal na niego wejdziesz.

Rozejrzałem się wokół siebie i w duchu przyznałem mu rację.

Odpowiedź tkwi w fazie, pomyślałem, a potem próbowałem wymyślić o co mi mogło chodzić. Donikąd to mnie nie doprowadziło.

Razem przedzieraliśmy się przez błoto, a ja główkowałem tak mocno, że bałem się zwichnięcia zwojów mózgowych. O co mogło mi chodzić z tą *fazą*? Dlaczego musiałem być aż tak bardzo tajemniczy? A ta sprawa, to moja ostatnia szansa…

W trakcie marszu, wytężałem oczy we mgle.

— Panie doktorze, jak by pan ocenił, jak duże są te żółwie?

— Na podstawie zdjęć, powiedziałbym, że mają jakieś sześć cali średnicy.

Nie, żeby miało to jakieś istotne znaczenie. W tej mgle, z odległości paru jardów, nie dałoby się dostrzec słonia. Dixie i Crane byli tylko dwa kroki przed nami, i już ledwie ich widziałem.

— I są one dokładnie takiego koloru, jak błoto?

— Słucham?

— Żółwie — wyjaśniłem. — Czy one są dokładnie tego samego koloru, co to błoto?

Odwrócił się i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

— Żółwie? Spenser, czy ty oszalałeś? Na Wenus nie ma żadnych żółwi.

Zatrzymałem się tak gwałtownie, że pojechałem na błocie i niemal się wywróciłem. Doktor Everton ponownie spojrzał na mnie, do tyłu.

— Spenser, coś się stało?

— Idźcie dalej — powiedziałem. — Dołączę do was za chwilę. Później wszystko wyjaśnię.

Zawahał się, tak jakby chciał mi zadać więcej pytań, a potem, ewidentnie uświadamiając sobie, że jeśli się nie pośpieszy, to straci z oczu Crane'a i Dixie, rzucił tylko:

— No dobrze. Jeśli się rozdzielimy, spotkamy się w obozie.

Natychmiast, kiedy tylko zniknął we mgle, postawiłem na ziemi swoją klatkę na okazy jako znacznik orientacyjny, wyznaczający dokładne miejsce, w którym stałem. Zacząłem szukać wokół niego po spirali.

Odpowiedź tkwi w fazie! Pomimo wszystko, to nie była taka tajemnicza zagadka. Po prostu pozwoliłem się złapać jednemu z żółwi – kiedy byłem sam – po to, żeby nie być w fazie z pozostałymi. Przez krótki czas byłem odporny, a oni nie. Tak więc żółw „złapał" Evertona, i to była wskazówka dla mnie.

Robiłem właśnie piąte kółko wokół klatki na okazy, jakieś sześć czy siedem stóp od niej, kiedy niemal wszedłem na coś nieruchomego i niemal niewidocznego na powierzchni błota. Był to sześcionogi żółw. Podniosłem go do góry i zawołałem: „Tu jesteś, mój ty śliczny! Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe, a odpowiedź rzeczywiście tkwi w fazie!

Spojrzał na mnie wielkimi, uduchowionymi oczyma i oznajmił ze smutkiem:

— Yeep?

Poczułem wyrzuty sumienia. Przecież dobrze wiedziałem, że teraz, kiedy metoda polowania została już wymyślona, inne ogrody zoologiczne, inne muzea także będą chciały zdobyć swoje okazy i…

Zdusiłem w sobie te myśli i stanowczo umieściłem żółwia w mojej klatce. To oznaczało Dixie, a Dixie znaczyła dla mnie wszystko. Korzystając z sygnału kierunkowego jako przewodnika, z chlupotem ruszyłem do obozu.

Kiedy tamci wrócili kilka godzin później, chichotałem sam do siebie pod nosem. Znowu będę mógł odpłacić komuś pięknym za nadobne, tak więc przygotowałem się do tego, aby ich przekonać. Kiedy pogrzebałem w swojej szafce, znalazłem mnóstwo amunicji, jaka była mi potrzebna – czasopisma naukowe z artykułami na temat wenusjańskich żółwi błotnych, wycinki prasowe o wylocie ekspedycji zoologicznej oraz jej głównym celu. No i oczywiście Okaz A, czyli żywy wenusjański żółw błotny w doskonałym stanie.

Poprosiłem na bok doktora Evertona i równie dyplomatycznie, jak on wcześniej przypomniał mi o umowie między nami, przypomniałem mu teraz ja.

Westchnął.

— W porządku, Rod — stwierdził. — Nie pamiętam tego, ale wierzę ci na słowo. Wydaje mi się – przynajmniej tak sądzę teraz – że i tak bym się zgodził, niezależnie od tego, czy jest między nami jakaś umowa dotycząca tej sprawy czy jej nie ma.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wtedy nagle się uśmiechnął.

— Czy ustaliliście z Dixie już jakąś datę?

— Muszę porozmawiać o tym z Dixie — odparłem, — ale wiem jaki dzień ja bym wybrał. A pan, z technicznego punktu widzenia, jest kapitanem statku kosmicznego i może pan dokonać tej ceremonii, zanim stąd odlecimy. — Uśmiechnąłem się do niego. — Prawdę mówiąc, wolałbym załatwić tę sprawę, zanim znowu dostanę amnezji i zapomnę, że taka umowa istnieje.

— Znowu dostaniesz amnezji? Myślisz, że tak się stanie?

— Jeżeli przypadkiem nie jest ten sam żółw na którego wpadłem za pierwszym razem, to myślę, że tak. Kiedy tylko skończy się okres ochronny, który załatwił mi ten pierwszy żółw, ten tutaj dopadnie mnie i znowu zapomnę o wszystkim na parę godzin. I to powinno stać się mniej więcej niebawem, jeżeli w ogóle się stanie.

Znalazłem Dixie w głównym namiocie i dokładne słowa, których wtedy użyłem oraz których użyła ona, są tylko naszą sprawą. Pół godziny później, doktor Everton udzielił nam ślubu, a potem, ponieważ chcieliśmy się spakować i odlecieć jeszcze przez zbliżającym się końcem wenusjańskiego dnia, zabraliśmy się z zapałem do roboty.

Większość pracy, jaką miałem do zrobienia, odbywała się na statku i związana była z jego przygotowaniem, tak więc jako ostatni spakowałem swój worek marynarski i zaniosłem go na pokład. Naturalnie pozbyłem się wszystkiego, co było mi niepotrzebne – tak jak robią to wszyscy przed lotem w kosmos — włączając w to wyrzucenie mchu z mojej klatki na

okazy i wypuszczenie dziwacznego, podobnego do żółwia stworzenia, które nie miało żadnej wartości jako zdobycz. Musiało ono znaleźć otwartą klatkę i samo do niej wleźć, ponieważ ja nigdy bym czegoś takiego nie złapał. Stworek wyglądał jakoś odrażająco; cieszyłem się że nie ma żadnego powodu, aby zatrzymywać go w niewoli.

Być może powinienem wcześniej zapytać o niego doktora Evertona, ale tak mi się śpieszyło do startu w drogę powrotną na Ziemię – oraz do oczekującego mnie miesiąca miodowego.

KONIEC